

Czas poza szkołą

Propozycje na dziś i jutro

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy uczniów szkół wyżej zorganizowanych zamieszkało w internatach, około 70 tysięcy — na stancjach, a pozostali (niczego sobie „pozostałość” — ponad milion nastolatków!) — za cenę niewygód, fizycznej i psychicznej mordegi — odbywają codzienne podróże w te i wewtę dlatego, że latami gimnazja, licea, zawodówki, technika sytuowali się głównie w miastach powiatowych i wojewódzkich. Także i dlatego, że wybudowaliśmy za mało internatów. Te przyuczyni narzucają określone wnioski: trzeba lokować nowe szkoły na coraz „głębszej” od powiatowej — pro wincji, budować nowe internaty, które to działania chcemy wprowadzić w miejsce owocnej akcji pt. „Tysiąc Szkół na Tysiąclecie”...

To propozycje na jutro. Na pojutrze. Długofalowe. Tymczasem mamy dziś. Wrzesień roku 1965.

Jestem w jednym z inspektoratów oświaty. Pytam: Jakże podjęliście działania w interesie dojeżdżającej młodzieży szkolnej? W odpowiedzi pokazano mi — z prawdziwą dumą — wielki plakat, obwieszczający — czego to młodzieży w ogóle, a dojeżdżającej w szczególności czynić nie wolno! Nie wolno jej więc palić, pić, chuliganic, wagarować, wałęsać się, przebywać na ulicach po dwudziestej. Stusnie — i nie czepiałbym się tego wielkiego programu na „nie”, gdyby w parze siedł również wielki program na „tak”. Tymczasem w tym pełnym nakazów i zakazów mieście — do tutejszych szkół dojeżdża codziennie 1200 uczniów — nie ma ani jednej świetlicy młodzieżowej! Nie ma jej na dworcu PKS, ani na dworcu PKP. A była. Kilka lat temu. Zamieniono ją na biuro. Nie tylko to jedną. Nie tylko na tym dworcu...

Młodzież korzystająca z PKP ma do swojej wyłącznej (często tylko teoretycznie) dyspozycji około 1100 wagonów z napisem: „Dla młodzieży szkolnej”. Przewożą one maksimum 100 tysięcy nastolatków, gdy z transportu kolejowego korzysta ich prawie milion. W tym miejscu dwie propozycje: zwiększyć liczbę wagonów przeznaczonych dla młodzieży, to raz, a dwa — z młodymi podróżnikami częściej muszą przebywać wychowawcy, aktywiści organizacji młodzieżowych, członkowie komitetów rodzicielskich. Ma też dojeżdżająca młodzież do dyspozycji niespełna... sto świetlic, które — jakże czę-



Nr 202 5. IX. 1965 Rok V

sto! — w czasie przyjazdu i odjazdu uczniów są sprzątane, są jeszcze, albo już... nieczynne. Ich „funkcje” przejmują z konieczności bary mleczne i kawiarnie. Uczniowie mają do rozpoczęcia lekcji godzinę, czy dwie, a po lekcjach, do odjazdu pociągu, czy autobusu znów godzinę czy dwie wolnego czasu. Gapią się więc w dobrze znajome wystawy, szlifują bruki tych samych ulic, raz jeszcze przeżywają fabułę filmu, oglądając fotosty. To — w najlepszym przypadku. Bo także, po szczecińsku — rozrabiają. Są głośni, nieraz wulgarni. A zawsze marnują czas, który z pożytkiem dla siebie, dla nauki, dla szkoły mogliby spędzić w klubie, w świetlicy.

Rozkłady jazdy autobusów i pociągów nie są dostosowane do potrzeb dojeżdżającej młodzieży. Przychozą do miasta na godzinę przed rozpoczęciem lekcji, odjeżdżają w dwie godziny po zakończeniu. Ile traci uczeń na tych dojazdach i oczekiwaniach?

Już się urodzili tacy, którzy nie bagatelizują interesów młodych pasażerów. Np. w Koszalinie, Wrocławiu czy Lublinie wprowadzono takie ułatwienia, jak bezwzględne pierwszeństwo w korzystaniu z autobusów, jak oddanie do dyspozycji młodzieży „z miesięcznymi” specjalnych przyczep, jak wprowadzenie do ruchu dodatkowych autobusów na szczególnie przeciążonych liniach, czy uruchomienie „szkolnych” linii.

Można też wypełnić uczniom najkrótszy nawet czas oczekiwania na autobus, czy na pociąg. Właśnie w świetlicach, które należy uruchamiać wszędzie tam, gdzie są chociażby minimalne warunki lokalowe (lubelska DOKP na świetlice zamienia wagony wycofane z ruchu — dzięki jej za to!) i w szkołach, które dla dojeżdżających uczniów muszą być otwarte do późnych godzin. Uczniom tym należy również odpowiedni dozór i opiekę wychowawczą. Gdy tu odrobą lekcję, czas spędzony w domu będzie dla nich czasem rzeczywistego wypoczynku. Na szkole ciąży także obowiązek zapewnienia dojeżdżającym ciepłej strawy. Powiedzieć: szkoła nie ma internatu, nie ma własnej stołówki. Ale w mieście są zakłady pracy, dysponujące i świetlicami, i stołówkami. Trzeba wejść z nimi w porozumienie (takie jest zresztą zalecenie Ministerstwa Oświaty, sumiennie przestrzegane od lat np. w Lublinie, np. w Białymstoku).

Wielkopolski kształt reform

Zapowiedziane przed niespełna dwoma miesiącami w Uchwale IV Plenum KC PZPR zmiany w metodach planowania i zarządzania gospodarką przybierają postać projektów aktów prawnych, instrukcji i rozporządzeń. Na razie, przede wszystkim na szczeblu ministerstw, by trafić do zjednoczeń, a stamtąd do przedsiębiorstw. Sprezycowano np. zasady finansowania inwestycji. Wiadomo więc, że poza inwestycjami szczególnie ważnymi dla gospodarki narodowej, które nadal będą korzystać z dotacji państwowych, wszystkie pozostałe będą korzystać z kredytów bankowych. Przy tym inwestycje centralne oparte zostaną na kredytach bezprocentowych a realizowane przez zjednoczenie — będą oprocentowane. Zwiększy to zainteresowanie dotrzymywaniem terminów i skracaniem cykli inwestycyjnych.

Mówiąc jednak o zmianach w metodach działania naszej gospodarki, nie należy rozumieć, że rozpoczyna się one dopiero wówczas, gdy nadejdą prawomocne zarządzenia. Część z tych zmian wprowadzana wcześniej (zarówno w przedsiębiorstwach jak i w zjednoczeniach) w formie eksperymentów i prób znajduje obecnie — często w rozszerzonym zakresie — po prostu sankcję prawną, zostanie upowszechniona na całe dziedziny gospodarki. Większość zmian poprzedzały nadto liczne przygotowania, stwarzające sprzyjającą atmosferę dla reform zasadniczych. Od takich np. zaliczyć można Uchwałę nr 224 Rady

Ministrów z lipca ub. roku, dotyczącą organizacji służb inwestycyjnych.

Również w zjednoczeniach i przedsiębiorstwach województwa poznańskiego wprowadzono reformy i zmiany częściowe. Warto przy tym dodać, że w Poznaniu działa 30 zjednoczeń przemysłowych i usługowych, z czego 4 maja zasięg ogólnokrajowy, a 5 — charakter międzywojewódzki.

Wysiłki zmierzające do udoskonalenia metod zarządzania zarówno w zjednoczeniach jak i przedsiębiorstwach — szły w dwóch kierunkach: reform techniczno-ekonomicznych i kadrowo-organizacyjnych. Efekty tych udoskonalień dają się zauważyć w wielu dziedzinach, choćby w stosowaniu nowych mierników planowania i oceny działalności przedsiębiorstw, w poprawie gospodarności środkami trwałymi i obrotowymi czy w sprawach kadrowych. W oczekiwaniu większych wymagań liczne zjednoczenia nawiązały współpracę ze szkolnictwem wyższym i placówkami naukowymi, a to w celu modernizowania programów technicznych i ekonomicznych, pogłębienia specjalizacji, stosowania lepszych metod organizacyjnych itp.

Ukierunkowanie produkcji taboru kolejowego, okuć budowlanych, mebli czy wyrobów ziemniaczanych stanowiło wartościowy wkład w zapowiedziane zwiększenie samodzielności zjednoczeń tych branż. Podobnie istotne prace wykonano w zjednoczeniach wielkopolskich dla ustalenia właściwych proporcji i relacji cen oraz nowych katalogów fabrycz-

nych cen. Pozwoli to zjednoczeniom oprzeć ustalane dla przedsiębiorstw wielkości planów na nowych miernikach, pozbawionych wewnętrznych nieprawidłowości.

Równie ważnym zagadnieniem jest wychodzący naprzeciw Uchwale IV Plenum KC, a kontynuowany od dawna — proces koncentracji i specjalizacji produkcji. Prace w tej dziedzinie przyjęły tak rozległe rozmiary, że dzisiaj można mówić nawet o ich określonych wynikach.

Oto w przemyśle meblarskim dokonano w latach 1961—1964 komasacji 13 przedsiębiorstw w 6, co dało w rezultacie wzrost produkcji o 12 proc. i stworzyło lepsze warunki dla postępu technicznego i organizacyjnego, dla rozwoju zaplecza technicznego, transportowego itp. Z wygospodarowanych środków zorganizowano Ośrodek Rozwoju Meblarstwa, skupiający 100 wysokokwalifikowanych fachowców.

Podobnie wartościowe korzyści przyniosła koncentracja i specjalizacja w drobnej wytwórczości. Dzięki temu np. zmalała liczba spółdzielni prac. z 216 w 1963 r. do 181 — obecnie. W połączonych, większych spółdzielniach łatwiej teraz o lepszą organizację pracy, o specjalizację produkcji i właściwe wykorzystanie kwalifikowanych kadr.

Sporo zrobiono również w wielkopolskich zjednoczeniach dla branżowej koordynacji wytwarzania. Rozwinęły się nowe formy ściślejszej współpracy przedsiębiorstw, i to bez względu na ich organizacyjną przynależność. Na przykład: Zakłady Metalurgiczne „Pomet”, podejmując się roli przedsiębiorstwa wiodącego dla wszystkich odlewni w Wielkopolsce, udostępniły swoim „podopiecznym” zaplecze techniczne, pomagając w szkoleniu kadr, udzielając pomocy technicznej.

Przykładów dobrego i gospodarskiego, bo dalekowszerego myślenia i działania można by przytoczyć jeszcze wiele. Wszystkie one z mniejszym lub większym powodzeniem zdążają do jednego: sprawniej gospodarować, a tym samym osiągać lepsze efekty ekonomiczne.

angażowała się po stronie Amerykanów przeciwko Francuzom”.

Dodajmy od siebie, że tę listę punktów spornych między Bonn a Paryżem można jeszcze powiększyć: stanowisko Francji w sprawie dopuszczenia NRF do „współdecyzji” w zagadnieniach użycia broni atomowej, uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, stosunek do polityki USA w Wietnamie, reorganizacja NATO itd. Nic dziwnego, że autor cytowanego wyżej artykułu po tym bilansie stosunków NRF—Francja konkluduje: „wrażenie jest druzgocące”.

EWG w ślepej uliczce

Ostatnim kamieniem obraży Bonn w stosunku do Francji jest stanowisko zajęte przez rząd francuski w sprawie wspólnej polityki agrarnej EWG. Stanowisko to doprowadziło do poważnego impasu całą politykę

Dokończenie na str. 2

Józef Lubojański

Bońskie niepokoje

22 stycznia 1963 r. został w Paryżu uroczystie podpisany układ niemiecko-francuski; Adenauer święcił swój wielki triumf. Niespełna trzy lata, które minęły od tej daty, nie potwierdziły jednak oczekiwań, jakie z tym układem wiązała polityka zachodniomniemiecka. „Stuttgarter Zeitung” (nr 133 z 11. 6. 65 r.) pisała niedawno: „Trudno oprzeć się wrażeniu, że każda nowa wizyta de Gaulle’a w Bonn i Erharda w Paryżu stanowi tylko nowy etap w dezintegracji stosunków niemiecko-francuskich.”

Ta sama gazeta tak oto scharakteryzowała aktualny bilans stosunków NRF—Francja:

„Czy to chodzi o polityczne zjednoczenie Europy, czy o stosunek do Ameryki, o współpracę zbrojeniową czy o EWG, o strategię w stosunku do Związku Radzieckiego, czy o

Przed paryską wizytą J. Cyrankiewicza

prześlanki rozwiązywania problemu niemieckiego — w każdym z tych punktów stanowisko Bonn jest sprzeczne ze stanowiskiem Francuzów. Nie ma takiego kontrowersyjnego problemu o większym znaczeniu między Francją a Ameryką, w którym Republika Federalna nie za-

Bogdan Dohnke

Uczyć pływać czy ratować?

Informacja była krótka, lakoniczna, ale jakże wymowna w swej treści. Znowu ponad 700 osób straciło życie. Obfite żniwo śmierci w sezonie, które nie sprzyjał przecież kąpielom. Był wyjątkowo zimny i dlatego liczby są rekordowe.

Problem pływania i ratowania tonących od lat nie schodzi z szpalt. Z wielką uwagą śledzę publikacje na ten temat. Najmniej znalazłem takich, które dotyczą sprawy najistotniejszej: profilaktyki. Najmniej na ten temat pisano i najmniej w tej dziedzinie zrobiono.

Chodzimy od dłuższego czasu po marginesach i nie chcemy albo nie umiemy wyciągnąć właściwego wniosku z tego, co dzieje się na wodach. Problemu nie rozwiążą bowiem tablice zabraniające kąpiele, ani powszechne karty pływackie, ani tzw. strzeżone kąpieliska (100 m brzoju dla kilku tysięcy ludzi), ani... masowa nauka pływania.

Szczególnie uderzające jest na pewno ostatnie stwierdzenie, ale nie odbiega ono od prawdy. Gdyby komunikat o liczbie tegorocznych ofiar był ściślejszy, dowiedzielibyśmy się na pewno, że zdecydowana większość tych, którzy stracili życie w wodzie umiała pływać. Utopić się można bez względu na posiadane umiejętności.

Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, iż narażam się Komitetowi Upowszechniania Pływania twierdząc, że jego praca jest pracą Syzyfa. Wszelkie hasła o masowej nauce pływania można sobie włożyć

między bajki. Nie da się bowiem planować rzeczy nierealnych. Chyba że z góry zakładamy fikcję. Wtedy z takim samym powodzeniem możemy planować, że na przełomie roku 1965/66 nauczymy jazdy figurkowej na łyżwach 5000 dzieci. Planować można, ale do spełnienia naszych nabożnych życzeń musi być jeszcze lód. Ciekaw jestem ile osób nauczono pływać na wszystkich wielkopolskich wodach w lipcu? A w sierpniu? I na tym koniec lata. Nie mamy odpowiednich warunków do nauki pływania, a uzależnieni od kaprysów pogody nie możemy twierdzić o podejmowaniu masowych akcji.

Zalóżmy jednak, że nauczymy sztuki utrzymywania się na wodzie kilka tysięcy ludzi rocznie. Każdy z nich w dalszym ciągu będzie potencjalnym kandydatem na topielca.

Celowość nauki pływania widzę jedynie jako jeden z elementów przygotowania do życia, tak jak coraz aktualniejszą sprawą staje się powszechna umiejętność prowadzenia pojazdów mechanicznych. Ale w żadnym przypadku jako tamę mającą położyć kres wypadkom na wodach.

W krajach, które mają stokroć (dosłownie) korzystniejsze warunki do prowadzenia masowej nauki pływania dawno już stwierdzono, że zdobycie przez człowieka tej umiejętności wcale nie chroni go przed utonięciem. Stworzono tam całkiem nieskomplikowany ale skuteczny system ochrony człowieka. Nie

drogą zakazu i nakazu, ale w postaci wszystkich co jest niezbędne do natychmiastowego przystąpienia z pomocą tonącemu człowiekowi.

Ratownictwo uznano jako sprawę najpilniejszą, jako najsukcesowniej rozwiązywanie problemu wypadków na wodach.

Czy u nas coś w tym kierunku zrobiono? Owszem. Powołano Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunko-

Przeciwko fikcjom

we — instytucję zawieszoną w próżni, organizację, którą, na dobrą sprawę, wszyscy się chwala, ale której nikt nie traktuje na serio. Człowiekowi stojącemu z boku i przyglądającemu się zebraczaj pracy WOPR wierzyć się nie chce, skąd ludzie z niebieskim krzyżem biorą tyle zapалу i energii, by pokonywać przeciwności pętrzące się na każdym kroku. Począwszy od każdej złotówki, która jest wyblądana, do bzdurnych zarządzeń, których nawet w imię dobra społecznego nie mogą przekroczyć. Wiele bojęw, w większości przegranych, stoczyli WOPR-owcy, aby pozwole- no ratownikom używać motorówek na jeziorach zamkniętych dla ruchu pojazdów napędzanych silnikami. A kto zezwolił karetkom pogotowia na używanie syren w miastach? Czym różni się karetka pogotowia od motorówki spieszącej do człowieka tonącego na środku jeziora?

Tylko niewiele osób ma się utożsamiać się całymi miesiącami w sprawach oczywistych i nie budzących wątpliwości u ludzi logicznie myślących. Dawno temu wielkopolski WOPR-owcy zaprojektowali boje chwytnie z dzwonkiem alarmowym. Urządzenie tanie i pozwalające na pływanie po znacznie większych przestrzeniach. Kilkanaście takich boi zakotwiczonych na określonym terenie umożliwia pływającemu odpocząnek, a w przypadkach szczególnych wezwaniu dyżurującego ratownika przy pomocy dzwonka umieszczonego na boi. Zaprojektowali i na tym koniec. Nie ma do tej pory takich bojek na jeziorach, ponieważ WOPR-owcy nie mają na to pieniędzy, nikt nie przyimie od nich zlecenia bo nie mają osobowości prawnej, nie znaleźli instytucji, która chciałaby zrealizować ten projekt. Gdziekolwiek poszli przyznawano im rację i delikatnie... spiawano.

Zimą na krytych basenach są godziny dla juniorów, seniorów, old-bojów itp. Najtrudniej znaleźć i wygospodarować godziny na szkolenie ratowników. Oni bowiem nie mają dostatecznych sum pieniędzy na opłacenie basenu i nie dają punktów spartakiadowych.

Mówi się, że okręg poznański WOPR jest najlepszy w kraju. To jest prawda. Ale jest tak dlatego, że nasi WOPR-owcy, traktowani zresztą jak grupa nieszkodliwych wariatów, mają jeszcze siłę walczyć. W innych okręgach już dawno machnęli ręką, czekając, aż problem urośnie do takich rozmiarów, że władze terenowe, na mocy odgórnych zarządzeń i poleceń, złączą same szukać ratowników i znajdą odpowiednie środki na zabezpieczenie akcji ratunkowej. Tylko ilu przez ten czas młodych ludzi stracił niepotrzebnie życie?

W obecnej sytuacji nauka pływania wydaje się być rzeczą drugoplanową. Praktyka i statystyka utonięć dowiodły, że zamiast w jednym poławie uczęć pływać 150 ludzi, lepiej przeznaczyć te środki na wyszkolenie 100 ratowników. Dać im do dyspozycji łódkę, koła ratunkowe, pomosty, wieżyczki obserwacyjne, łódzie motorowe i wiosłowe itp. Tych 100 ludzi stać będzie na straż życia kąpielących przynosząc pożytek nieporównywalnie większy. Swymi dyżurami ratownicy objąć mogą wszystkie miejsca, w których kąpią się ludzie, a nie tylko te, które wyznaczyły rady. Na „dzikich” wodach ginie przecież najwięcej ludzi.

Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości niech spróbuje zanalizować miejsca wszystkich utonięć i przekona się jaki procent ludzi zginął w zasięgu ratownika dobrze wyszkolonego i dysponującego niezbędnym sprzętem. Pomijam tu wypadki szczególnej bezmyślności, które nawet przy natychmiastowej pomocy niczego już nie zmieniają.

Mamy w kraju wielu ofiarnych ludzi, którzy zdecydowali się ryzykować swym życiem po to, aby innych uratować przed utonięciem. Zadeklarowali oni chęć społecznego, bezinteresownego strzeżenia wód. Ta wyciągnięta ręka nie została odrzucona, ale bardzo rzadko spotyka inną, pomocną dłoń.

Wyda się, że jednoznacznie można odpowiedzieć na pytanie zawarte w tytule: **uczyć ratować!** Nie dla statystyki. Uczyć ratować i równocześnie stwarzać warunki dla ratowania ludzi. To się stokroć bardziej opłaca w walce o życie ludzi niż tablica „Kąpanie wzbronione”.

Jak żyć z cukrzycą?

Cukrzyca — zaburzenie przemiany materii, powstaje na skutek wadliwej czynności gruczołów dokrewnych...

Tak brzmi lekarska definicja tej coraz bardziej rozpoznawanej choroby. Ale skąd się biorą zaburzenia — dlaczego obecnie tylko w Polsce cierpi na cukrzycę ponad 250 tys. osób, podczas gdy przed I wojną światową notowano dziesięciokrotnie mniej przypadków. Oczywiście, można to tłumaczyć doskonałymi metodami wykrywania choroby. Ale pozostanie niezbitą prawdą, że z roku na rok coraz więcej chorych na cukrzycę.

O potrzebie utworzenia jakiejś prowadzącej placówki naukowo-badawczej, przekazującej doświadczenia borykającym się z problemami cukrzycy szpitalom i przychodniom — mówiło się u nas od dawna. Resort zdrowia wytypuwał uzdrowisko Kołobrzeg. Kołobrzeskie sanatorium cukrzycowe ma nie tylko leczyć, ale i opracowywać metody leczenia dla placówek lecznictwa otwartego. Dla opuszczających Kołobrzeg pacjentów ma być ponadto „szkołą życia” w nowych warunkach.

— Dziś już wiadomo, że z cukrzycą można żyć, pracować, że nie jest

równoznaczna z inwalidztwem — mówi dr Maria Grabowska, która na teren kołobrzeski przeniosła z Instytutu im. Hirsfelda prawdziwie hirsfeldowską pasję badawczą; leczy, dociekając przyczyn choroby.

W sprawie tych przyczyn nauka nie wypowiedziała się jeszcze ostatecznie, choć zrobiono już wiele. Wiadomo np., że cukrzyca się nie dziedziczy. Można natomiast odziedziczyć skłonność do niej. Istnieje szereg czynników sprzyjających rozwojowi choroby. Należy do nich m. in. otyłość — tędzy ludzie chorują na cukrzycę częściej; zabezpieczając się przed chorobą trzeba zwracać

Nadzieja mieszka w Kołobrzegu

uwagę na nadmiar kalorii w pożywieniu. Sprzyja rozwojowi cukrzycy siedzący tryb życia, niedobór pracy mięśniowej (stąd — nawoływania do ćwiczeń sportowych i lekkiej pracy fizycznej ludzi spędzających znaczną część dnia za biurkiem). Ważnym czynnikiem w etiologii cukrzycy jest nerwowy tryb życia. Można więc to ująć lapidarnie: dużo siedzi — dużo je — często się denerwuje — a więc choruje. Dlatego też cukrzyca atakuje częściej mieszkańców, niż mieszkańców wsi. W związku z uprzemysłowieniem kraju i zwiększaniem się liczby mieszkańców miast, trzeba się liczyć z dalszym wzrostem zachorowań.

Przy cukrzycy są częstsze zawały serca, schorzenia nerek, naczyń kończyn dolnych, zdarza się, że chorzy tracą wzrok, wywołują się ropne schorzenia skóry. Na cukrzycę dziś się nie umiera. Odłąk wynaleziono insulinę — zgony zdarzają się wówczas, kiedy zaniedbana choroba wywołuje ciężkie powikłania. Aby tego uniknąć, chorzy muszą stosować — długo, najczęściej przez całe życie — opracowane przez specjalistów metody.

Tylko nieznaczna część owych 250 tysięcy chorych ma możliwość korzystania z pomocy i wskazań specjalistów w Kołobrzegu. Sanatorium może przyjąć jednorazowo 170 „cukrzycowców” na turnus. Pacjenci korzystają z tzw. kompleksowego leczenia — klinicznego i przyrodoleczniczego. Ponadto uczą się obchodzić bez fachowej pomocy, samodzielnie oznaczając ilość cukru w moczu i robiąc sobie zastrzyki insuliny. Chodzi przecież o to, by chory przy każdym ataku choroby, mógł otrzymać natychmiastową pomoc, jeśli nie ma w najbliższym zasięgu placówek służby zdrowia. Niestety, ludziom cierpiącym na cukrzycę nie wolno rozstawać się ze strzykawką. Otrzymują w sanatorium wskazania dietetyczne, uprawiają gimnastykę leczniczą usprawniającą mięśnie, korzystają z kąpeli i masażu. Ważny jest nawet leczniczy pedicure — przy cukrzycy każdy odcisk jest niebezpieczny i wymaga zabiegów profilaktycznych.

Ale na to wszystko jest tylko 170 łóżek, kropla w morzu potrzeb. Nie przyniesie też radykalnego rozwiązania problemu nawet projektowana rozbudowa sanatorium. Stąd — jego działalność wiodąca, powiązana z poradniami cukrzycowymi w kraju. Poprzez doc. Artura Czyżyka sanatorium utrzymuje stały kontakt z kierowaną przez prof. Kodejszkę III Kliniką Chorób Wewnętrznych warszawskiej AM. Odbijają się, m. in. w Kołobrzegu, ogólnokrajowe spotkania lekarzy diabetologów, na dorocznych zjazdach w Warszawie wymienia się doświadczenia.

Właśnie odbywa się w sanatorium kolejna pogadanka, jedna z pięciu przewidzianych na turnus, które uczą pacjentów, jak mają żyć z cukrzycą. Niektórzy dopiero tutaj dowiedzieli się, że można z nią żyć. Kiedy taką „szkołę życia” można będzie udostępnić wszystkim chorym?

Europejskie wojaże naszej lekkiej muzy

Parę jeszcze lat temu do sensacji zaliczało się wyjazd za granicę, do najbliższych sąsiadów, choćby jednego zespołu rozrywkowego z Poznania. Dziś nikt z tego faktu sensacji już nie robi. Bieglej rok należy zresztą pod tym względem do rekordowych. Dodajmy jeszcze, że wyjazdy nie ograniczają się wyłącznie do państw socjalistycznych. A przy tym muszą tam cenić nasze zespoły i solistów, skoro w wielu wypadkach przedłużono kontrakty do końca września br.

Najdłużej za granicą (od kwietnia br.) przebywa kwartet Jerzego Grzewińskiego, który wraz z piosenkarzem Lew Leterem koncertuje w Skopje (Jugosławia). Z pozostałych poznańskich zespołów, orkiestra Stanisława Sternala oraz duet Garyantesiewicz-Rondelski występują w Holandii, zespół Henryka Kuczyńskiego — w Finlandii, Romana Pahlia — w Karłowach Varach. Znamy gitarzystę Bogdana Lechowskiego występującego w Szwecji oraz perkusistę Michała Niemira w Finlandii.

Niemniej atrakcyjne tournée odbywa się nasze piosenkarki: Wiesława Drojcka przebywa w Związku Radzieckim, Zdzisława Sośnicka śpiewa aktualnie w Paryżu (poprzednio była w Leningradzie oraz kilku miastach jugosłowiańskich), Bogdana Zagórska powróciła przed kilku dniami z Finlandii (śpiewała w Helsinkach).

Długie tournée odbył również zespół ZMS „Wielkopolska”. Po Festiwalu Zespołów Amatorskich w NRD, nastąpił wyjazd do Jugosławii (koncerty w Skopje).

Jak z tego krótkiego zestawienia wynika, eksport poznańskich zespołów jest dość znaczny. Z drugiej strony poznańska Estrada poszukuje za granicą zespołów, które by mogły (bez kompromitacji) występować w Poznaniu, przede wszystkim w okresie trwania MTP i sezonu urlopowego. W tym celu do Jugosławii wyjechali przedstawiciele poznańskiej Estrady, dokonali przeglądu koncertujących tam zespołów włoskich i jugosłowiańskich. Nawiązane zostały wstępne kontakty i być może w czasie przyszłorocznego MTP zobaczymy któryś z interesujących zespołów. (jm)

Przeglądamy Prasę

PEŁNOLETNOSĆ NASZEGO ZWYCZYSTWA

Pod tym tytułem aż cztery pełne strony poświęca „Kultura” rocznicy września 1939 r. Siedem map ilustruje wszystkie areny walk II wojny z udziałem oręża polskiego. Obszerne rozważania historyczno-filozoficzne snuje na ten temat Dominik Horodyski.

„Patrząc z historycznego już dystansu na wydarzenia wojenne — pisze Horodyski — wypadają nam inaczej niż w latach rewolucyjnej walki, pełniej i sprawiedliwiej widzieć całą panoramę antyhitlerowskiej wojny narodu polskiego. Każdemu przyznać, co mu się słuszenie należy, Robi to zresztą za nas życie nie odwołując się do skomplikowanych uogólnień. Zastanawiający np. jest stosunek współczesnej opinii polskiej do Powstania Warszawskiego. Brałem udział w Powstaniu. Byłem jego zdecydowanym przeciwnikiem: przed wybuchem i po klęsce. Nieraz na ten temat pisałem. Co roku chodzę 1 sierpnia na Cmentarz Wojskowy i widzę jak sens tej tragicznej rocznicy się przekształca. Od paru lat spotykają się tam uczestnicy absolutnie wszystkich tendencji, które dzieliły niegdyś Polskę walczącą, spotykają we wspólnym holdzie dla czystości intencji i wielkości ofiary młodzieży powstańczej. Pomatu rocznica dawniej „politycz-

na” zmieniała się w dzień narodowej refleksji nad zawiłociami polskich dróg wojennych, nad znaczeniem wielkiej miłości kraju, która jego obrońcom kazała ponosić tak ostateczne ofiary.”

BYŁEM SEZONOWYM KELNEREM

Pod takim tytułem Roman Śliwnik dokonuje w „Kulturze” wivisekcji naszej gastronomii. Materiał do tego sensacyjnego wręcz repertuaru zdobył autor z autopsji, pełniąc funkcje sezonowego kelnera w pewnej górskiej miejscowości wczasowej. Teraz opowiada w jaki sposób musiał nas kaniować i okradać. A na to — jak pisze — sposobów jest wiele.

„Przeważnie oszukuje Was na wodce. Oszukuje na zakąskach, na daniach gorących. Jest to dla Was nieuchwytnie, a mnie przysparza kilka złotych. — Więc sprzedaję Wam kurę jako kurczaka. Nie odróżnicie (...) Halibut idzie za łososia i najczęściej podaje Wam to — co ja chcę, muszę sobie umiejętnie zamówienie ustawić. Jeśli ktoś zamawia szczupaka, odpowiadam mu: szczupaka nie ma, jest tylko sandacz. To mi się opłaca. I ten ktoś je szczupaka sądząc, że to sandacz (...) Oszukuję Was. Ale to są tryby mechanizmu. Kantuje szef kuchni i obaj kierownicy, administracyjny i handlowy. Płacę haracz (ponad 500 zł miesięcznie) — na stółkę i na wiele innych spraw, bo kelner dostaje tyle, ile daje mu kierownik. Oni oszukują klienta na mięsie, na młodych ziemniakach, pomidorach, mizerii, przy dostawach. Robią co kilka dni tzw. „wewnętrzny remanent”, i po kilku dniach mają np. za dużo mięsa. Codziennie zostaje 10 procent produkcji. To dla nich. Docierają do 20 000 zł

Co nowego w „Czytelniku”

Rzecz w tym, że dużo nowego i dobrego. Zatem przedstawiam: **Sabina Grzegorzewska „Pamiętnik o Marii Wesslównie Królewiczowej Konstancji Sobieskiej”**. Autorka XIX-wieczna. Zatem rzecz zmysłką? Tylko, i to w pewnym stopniu, w konwencji pisarskiej, w tej fikcji pamiętnika i stopniu beletryzacji utworu. Bo obok tego rzecz świeża, gdzie historia o lepsze walczy z fikcją i wierutnym zmysłem, a losy żony najmłodszego syna Jana III Sobieskiego ukazane są na tle epoki w sposób nierzapajający. Można by rzec: to były czasy. Dobrze zrobiony jest wstęp i komentarz Zofii Lewińskiej.

Zastanawia mnie często, a i zyczątnie drażni zapoznanie pisarstwa jednego z naszych najcięższych prozaików, **Kazimierza Truchanowskiego**. Autor „Ulicy Wszystkich Świętych” czy „Zmowy Demiurgów” jest na pewno pisarzem trudnym, wymagającym pewnego przygotowania. Ale z drugiej strony, jakaś satysfakcja jest nawiązanie tej bezpośredniej niejako rozmowy z autorem po wczuciu się w osobiwy, świadomie chaotyczny tok jego myśli. Obecnie ukazała się trzecia i ostatnia część cyklu „**Młyn Boże**” (po „Niepokoju” i „Tyranii”) — obecnie „Zdejmowanie masek”. Jest to próba jakiejś wielkiej syntezy epoki, obejmującej życie dwóch pokoleń. Synteza oryginalna, pełna symboliki, skrótów, metafor, świadomej deformacji. Chwilami jest to coś kawkowskiego, kiedy indziej myśli się o Musilu, ale nade wszystko jest tu sam Truchanowski, pisarz o bardzo własnym, wyrobionym stylu, o szczególnym widzeniu świata, ujmowanym jako pewien cykl przemian.

A teraz cofnijmy się do Elizy Orzeszkowej, zawsze znajdującej wyznawców, w coraz zresztą szerszym kręgu. Bo jest w jej pisarstwie ta jakaś szalona pasja, zapal pozytywistki, umiejacej jednak pewnym ramom na-

dać własny kształt. Obecnie otrzymaliśmy powieść „**Na prowincji**”, o charakterze społeczno — obyczajowym, próba wskazania wartości pracy, charakteru, uporu. I jak zawsze kapitalna galeria typów, tak bojących, różnorodnych i tak prawdziwych. Warto jednak załapać czasem do Orzeszkowej i nie koniecznie tej tylko z „Nad Niemnem”.

Też autorce poświęcony jest zarys monograficzny **Jana Dełki „Orzeszkowa wobec tradycji narodowowyzwoleńczej”**. Książka ta zajmuje się zagadnieniem dziedzictwa Powstania Styczniowego w twórczości pisarki, związanej jak wiadomo z powstaniem (kontakty z Traugottiem), zarazem czołowej pozytywistki. Dełko w dość zasadniczy sposób odwraca pewne nasze pojęcia na „pozytywistów”. Okazuje się że światłowego rozdziału o powieści „Nad Niemnem”, że w intencjach autorki miało być jakby pomnik wzniesiony w 20-lecie Powstania. W oqóle zresztą na tle tej wnikliwej analizy wiele innych sądów należałoby poddać daleko idącej rewizji.

Bardzo się ucieszyłem, widząc wśród nowości „Czytelnika” „**Kulawego bosmana**” **Jerzego Bohdana Rychlińskiego**. Od dawna wolano o jakiś solidniejszy wybór z twórczości nestora naszej marynistyki (ur. w 1892 r.), ciałe aktualnego i czytelnego nader chętnie. Zwłaszcza że nowi pisarze-maryniści rodzą się jakoś bardzo opornie. „Kulawy bosman” to jedna z najlepszych powieści Rychlińskiego, historyczna, wiek XVII, walki ze Szwedami, ówczesna Polska na morzu.

Z przykładów chciałbym polecić bardzo osobiwy, delikatna, zwiwna, uroczą, trudno mi już o dalsze przyimiotniki, książeczkę **Josefa Skvorcek’ego „Legenda Emöke”**.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

niemieckiej w związku z zapowiedzianą wizytą premiera Cyrankiewicza w Paryżu.

„Schizofrenia zachodnioniemiecka”

W prasie NRF coraz częściej odzywają się pod adresem prezydenta de Gaulle’a już nie tylko nuty zniecierpliwienia, ale wprost groźby. Kilka miesięcy temu „Die Welt” pisała:

„...nie wstydzimy się zwrócić de Gaulle’owi uwagi, że te dwanaście dywizji Bundeswehry stanowi silny parasol, pod którym de Gaulle podminowuje NATO przy pomocy swoich nacjonalistycznych wódzów samopas. Miejmy nareszcie odwagę włączyć Bundeswehrę do międzynarodowej gry sił jako kartę polityczną. Nie obawiajmy się uwagi pod adresem Paryża, że niemiecko-brytyjski traktat przyjaźni w pewnych warunkach nie przyniosłby nam większych rozczarowań, aniżeli traktat niemiecko-francuski.”

Mnożą się także spekulacje związane z zaawansowanym wiekiem prezydenta Francji.

Wydawca „Spiegla”, Rudolf Augstein w wykładzie wygłoszonym 20. VII. br. w Godesbergu ostrzegł wszystkich tych polityków zachodnioniemieckich, którzy uważają, że obecna polityka Francji jest tylko

polityką de Gaulle’a. Podał on w wątpliwość czy podstawowe „interesy Francji w ogóle są do pogodzenia z interesami polityki zachodnioniemieckiej”. Oto jak charakteryzuje on te sprzeczności polityki NRF i Francji:

„Chciano (w NRF) przywrócić do życia państwo Bismarcka, Królewiec i Wrocław miały wrócić do Rzeszy, na temat Heb i Karłowich Varów nie miano jeszcze wypowiedzieć ostatniego słowa... Francja nie mogła być zainteresowana w tym, by zjednoczone Niemcy miały odzyskać Królewiec i Wrocław. Mało zależało jej na tym, by Berlin stał się stolicą zjednoczonych Niemiec... Co Francuz ma myśleć o twierdzeniu pewnego znanego niemieckiego przywódcy partyjnego, że uznanie granicy Odra-Nysa oznaczałoby nawrót do myślenia w kategoriach nacjonalistyczno-państwowych i że w imieniu Europy i z uwagi na europejskie zasady musimy odrzucić uznanie tej granicy dzielącej narody. Jest to schizofrenia, choroba, to nie ulega wątpliwości”. („Der Spiegel” nr 35 z 25. VIII. 65 r.).

Tego rodzaju głosy są jednak w prasie NRF nieliczne w porównaniu z tymi, które usiłują się pocieszyć z powodu niekorzystnych dla Niemiec zachodnich aspektów polityki francuskiej stwierdzeniem: „De Gaulle to nie Francja”.

JÓZEF LUBOJAŃSKI

miesięcznie. Ja zarabiam około 10 000 zł miesięcznie. Płacę im haracz, bo oni bronią mnie przed wpałkami, oni za to też muszą płacić (...) Oni, moje kierownictwo — też są uzależnieni. Muszą utrzymywać całe tabuny „arabów” — dyrektorów, nazwijmy ich dyrektorami zjednoczenia, którzy wpadają w towarzystwie na „degustację”.

NAD WARTĄ PANUJE CISZA

Chodzi o ciszę wydawniczą na temat udziału społeczeństwa Wielkopolski w zmaganiach z hitleryzmem. Problem ten porusza na łamach „Współczesności” Przemysław Bystrzycki w „**Liście z Poznania**”, którego głównym adresem jest Wydawnictwo Poznańskie.

Wóz Drzymały, bunt dzieci wrzesińskich, Powstanie Wielkopolskie. Tu granica — stwierdza Bystrzycki. O międzywojennym dwudziestolecu wspomnień prawie nie usłyszysz, ostatnia zaś wojna, to owa biała plama na mapie naszej wiedzy o Wielkopolsce.”

A przecież — pisze autor — funkcjonowało w Poznaniu tajne nauczanie, działał mały sabotaż, sypano piasek do panewek parowozów, organizowano pomoc dla jeńców wojennych, a „Szare szereg” zapisały piękna kartę. Warto więc pomyśleć o tym łaczącym nasze dzieje ogniewie.

SZKOŁA NR 1000

Sześć lat temu — przypomina „Polityka” — Władysław Gomułka dokonał otwarcia pierwszej

tysiąclatki w Czeladzi na Śląsku. Wczoraj przy ul. Ożarowskiej w Warszawie przekazana została tysięczna Tysiąclatka. Na marginesie tego tygodnika stwierdza:

„W istocie akcja tysiąca szkół jest rzadkim triumfem rzeczywistości. Patoś tysięcnej rocznicy skłaniał do holdów monumentalnych. Tym większa zasługa tych, którym wyobraźnia podsunęła projekt pomnika użytecznego”.

A oto inne ciekawskie pozycje, prezentowane Czytelnikom „Polityki”:

„40 dni w Wietnamie” Stanisława Głabińskiego, który przebywał ostatnio w tym nekonym wojną, broniącym się z bohaterstwem przed agresorem dysponującym najnowocześniejszą techniką; „Zapora konfliktów” — to reportaż Tadeusza Kołodziejczyka z budowy zapory w Solinie. Reportera interesują przede wszystkim konflikty ludzkie, organizacja współpracy między dyrekcją budowy i kolektywem zakładowym; „Strategia i terapia” — JERZY KLEER wyjaśnia podłoże przeprowadzonych w Jugosławii reform gospodarki, połączonych z dewaluacją dinara.

*

Dwudziestolecie swej działalności obchodzi „Zolnierzy Polski”. Jubileuszowy numer zawiera dużo doskonałych zdjęć, reportaży z poligonów oraz wspomnień z pola walki.

*

Interesujące materiały z okazji dożynkowego święta polskiej wsi przynosi „Gazeta Chłopska”.

LEKTOR